

Franz Kafka

PROCES

Przełożył: Jakub Ekier

Posłowania: Jakub Ekier, Łukasz Musiał

Zatrzymanie

Ktoś musiał fałszywie oskarżyć Józefa K., bo przecież on nic złego nie zrobił, a został pewnego ranka pozbawiony wolności. Kucharka od pani Grobosch, wynajmującej mu pokój, przynosiła dla niego śniadanie dzień w dzień koło ósmej, jednak tym razem nie przyszła. To się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Nie unosząc głowy z poduszki, zaczął, po chwili zobaczył, że stara kobieta, która mieszka naprzeciwko, obserwuje go z niezwykłą jak na siebie ciekawością, a wtedy, dotknięty i głodny, pociągnął za dzwonek. Zaraz usłyszał pukanie, po czym wszedł ktoś, kogo nigdy wcześniej w tym mieszkaniu nie widział. Szczupły, ale dobrze zbudowany mężczyzna miał na sobie ciasny czarny strój, który za sprawą różnych kieszonek, zakładek, guzików, klamerek i paska przypominał ubranie podróżne i wyglądał na bardzo praktyczny, choć nie było jasne, do czego służy.

– Kim pan jest? – zapytał K. i uniósł się w pościeli. Ale mężczyzna puścił to mimo uszu, jakby należało się zgodzić na jego widok, i spytał tylko:

– Pan dzwonił?

– Niech Anna przyniesie mi śniadanie – odparł K. i zamilkł, próbując na razie zebrać myśli i ustalić, kim tamten właściwie jest. Ale nie badał go spojrzeniem długo, bo mężczyzna uchylił drzwi i zwrócił się do kogoś, kto widocznie stał blisko w sąsiednim pokoju:

– On chce, żeby Anna przyniosła mu śniadanie.

Lekki śmiech za drzwiami zabrzmiał tak, że nie było pewne, czy nie bierze w tym udziału kilka osób. Nieznajomy, choć nic się nowego nie dowiedział, oznajmił K. tonem meldunku:

– To nie będzie możliwe.

– Ciekawe. – K. wyskoczył z łóżka i szybko włożył spodnie.

– Chcę zobaczyć, co to za ludzie za drzwiami i jak mi pani Grobosch wytłumaczy zakłócanie mojego spokoju. – Pomyślał, że to niepotrzebne słowa i że przez nie, choć nie są teraz najważniejsze, częściowo przyznał mężczyźnie prawo nadzoru. Nieznajomy tak właśnie go zrozumiał, skoro spytał:

– Nie zechce pan tu zostać?

– Nie zechcę zostać i nie chcę, żeby pan do mnie mówił, nie przedstawiwszy się.

– To było z życzliwości – odpowiedział nieznajomy i sam otworzył drzwi. Sąsiedni pokój, dokąd K. wszedł wolniej, niż by chciał, pokój bawialny pani Grobosch, ze swoim natłokiem mebli, fotografii, narzut, obrusów i przedmiotów z porcelany, na pierwszy rzut oka wyglądał niemal tak samo jak wieczorem poprzedniego dnia. Wydawał się może trochę przestronniejszy, ale trudno to było w pierwszej chwili ocenić, zwłaszcza że główna zmiana polegała na obecności jakiegoś mężczyzny, który siedział z książką przy otwartym oknie i właśnie podniósł oczy.

– Miał pan zostać u siebie! Franciszek nie powiedział?

– A panowie w jakiej sprawie? – K. obrzucił wzrokiem rzeczowego Franciszka, ciągle stojącego w progu, a potem jeszcze raz się przyjrzał nowemu znajomemu. Znowu było widać naprzeciwko tę kobietę, bo z iście starczą ciekawością przeszła tymczasem do sąsiedniego okna, chcąc wszystko dalej obserwować.

– Chcę, żeby pani Grobosch... – powiedział i jakby wyrывая się oddalonym od niego mężczyznom, ruszył do kolejnych drzwi.

– Nie. – Ten przy oknie rzucił książkę na jeden ze stolików i wstał.

– Pan nie może stąd wyjść, przecież jest pan zatrzymany.

– Na to wygląda – odparł K. i po chwili spytał: – A dlaczego?

– Nie jesteśmy od mówienia panu takich rzeczy. Proszę iść do swojego pokoju i czekać. Wdrożono postępowanie, i tyle, wszystkiego dowie się pan we właściwym czasie. Przekraczam swoje uprawnienia, kiedy mówię do pana po dobremu. Ale mam nadzie-

ję, że tego nikt nie słyszy prócz Franciszka, a on też jest dla pana uprzejmy, wbrew przepisom. Jeżeli dalej będzie pan miał takie szczęście jak do wyznaczonych sobie strażników, to może pan być spokojny.

K. chciał usiąść, ale nagle zauważył, że w całym pokoju nie byłoby na czym, jeżeli nie liczyć krzesła przy oknie.

– Jeszcze się pan przekona, ile w tym wszystkim prawdy – powiedział Franciszek i w tej samej chwili obaj podeszli do K. Znacznie go przewyższali wzrostem, zwłaszcza ten drugi mężczyzna, który co chwila klepał K. po ramieniu. Dotykali jego nocnej koszuli, mówiąc, że teraz będzie musiał włożyć koszulę znacznie gorszą, ale że tę z całą resztą bielizny obaj przechowają i zwrócą, gdyby sprawa rozstrzygnęła się pomyślnie: – Lepiej niech pan to wszystko odda nam zamiast w depozyt, bo w depozycie często dochodzi do przywłaszczeń, a z czasem rzeczy są sprzedawane bez względu na to, czy odnośne postępowanie się skończyło, czy nie. A ileż takie procesy trwają, zwłaszcza ostatnio! Owszem, w końcu dostałby pan z depozytu utarg, jednak, po pierwsze, i tak byłby mały, bo przy sprzedaży decyduje kwota nie oferty, ale łapówki, a po drugie, jak wiemy z doświadczenia, takie utargi jeszcze maleją, kiedy z roku na rok przechodzą z ręki do ręki.

Nie słuchał tego zbyt uważnie, mniej mu zależało na rozporządzaniu rzeczami, do czego pewnie zachował jeszcze prawo, bardziej natomiast na wyświetleniu własnej sytuacji, ale przy tych dwóch nie mógł się ani przez chwilę zastanowić; ten drugi strażnik – bo to mogli być tylko strażnicy – co chwila trącał go po przyjacielsku brzuchem, a kiedy K. podnosił wzrok, dostrzegał niepasującą do grubego ciała kościstą i chudą twarz o wydatnym, skrzywionym nosie, twarz, która ponad jego głową porozumiewała się z drugim strażnikiem. Co to za ludzie? Co oni mówią? Jakie reprezentują organa? Przecież K. żyje w praworządnym państwie, wszędzie panuje pokój, wszelkie ustawy pozostają w mocy, kto śmie go nachodzić we własnym mieszkaniu? Nigdy nie był skłonny do zamartwiania się, nie wierzył w najgorsze aż do chwili jego nadejścia i lekceważąc

niebezpieczeństwa, nie dbał o przyszłość. Ale uznał, że teraz byłoby to błędem; owszem, koledzy z banku mogli mu dzisiaj z jakichś powodów, choćby z okazji trzydziestych urodzin, zrobić żart, prostacki żart, niewykluczone oczywiście, i może wystarczy, żeby roześmiał się strażnikom w twarz, a oni też obrócą wszystko w śmiech, może to są ludzie na posyłki najęci z ulicy, trochę tak nawet wyglądają – a jednak już na widok strażnika Franciszka postanowił, że wobec tych dwóch nie wypuści z ręki nawet najmniejszego z możliwych atutów. Choć nie bardzo się przejął groźbą, że ktoś mu później zarzuci brak poczucia humoru, i choć nie miał zwyczaju wyciągać nauki z własnych doświadczeń, przypomniał sobie właśnie pewne skądinąd błahe przypadki, kiedy w odróżnieniu od przyjaciół świadomie popełniał jakąś nieostrożność, nie chcąc sobie wyobrazić jej konsekwencji, oraz jak je następnie ponosił. Nie chciał, żeby znowu tak się stało, przynajmniej tym razem, a jeżeli to komedia, zamierzał w niej też odegrać rolę. Jeszcze był wolny.

– Panowie wybaczą – powiedział i szybko przeszedł między strażnikami do swojego pokoju.

– Wydaje się niegłupi – usłyszał za plecami. W pokoju zaczął wyszarpywać szuflady biurka, wszystko leżało tam w wielkim porządku, jednak ze zdenerwowania nie mógł znaleźć akurat tych legitymacji, których szukał. Wreszcie znalazł legitymację cyklistowską i już nawet miał pójść do strażników, ale pomyślał, że ona zbyt mało znaczy; szukał dalej, aż znalazł akt urodzenia. Kiedy wrócił do sąsiedniego pokoju, akurat otwarły się przeciwległe drzwi i chciała wejść pani Grobosch. Pojawiła się tylko na chwilę, bo na jego widok popadła w wyraźne zakłopotanie, przeprosiła i bardzo ostrożnie zamknęła drzwi. Zdążył tylko powiedzieć:

– Niech pani wejdzie!

A teraz stał z papierami na środku pokoju, patrzył jeszcze na drzwi, które się więcej nie otwały, i oprzytomniał dopiero zagadnięty przez tych dwóch; siedzieli przy stoliku pod otwartym oknem i, jak teraz odkrył, spożywali jego śniadanie.

– Dlaczego nie weszła? – spytał.

– Nie wolno jej – odpowiedział ten wysoki. – Przecież pan jest zatrzymany.

– Ja zatrzymany? W taki sposób?

– No i znowu pan zaczyna – strażnik zanurzył kromkę chleba z masłem w słoiku miodu. – Na takie pytania nie odpowiadamy.

– Będą panowie musieli. Oto moje legitymacje, a teraz proszę mi pokazać swoje i przede wszystkim nakaz zatrzymania.

– Wielkie nieba! – powiedział strażnik. – Że też zamiast się pogodzić ze swoją sytuacją, tylko nas pan niepotrzebnie i z dziwnym uporem drażni, nas, którzy teraz jesteśmy pewnie najbliższymi panu ludźmi.

– Otóż to, niechże pan uwierzy – dodał Franciszek z filiżanką kawy w rękę; nie podniósł jej do ust, tylko obrzucił K. spojrzeniem, przeciągłym, być może znaczącym, ale niezrozumiałym. K. mimo woli wdał się z Franciszkiem w rozmowę spojrzeń, ale w końcu uderzył dłonią w swoje papiery, mówiąc:

– Oto moje legitymacje.

– A co nas one obchodzą? – tym razem już wykrzyknął drugi strażnik. – Pan się zachowuje gorzej niż dziecko. Na co pan liczy? Na to, że pański przekłety wielki proces szybko się skończy dzięki dyskusjom z nami, strażnikami, o legitymacjach i nakazach zatrzymania? My jesteśmy pracownikami niskiego szczebla, którzy się na legitymacjach nie znają, a z całą sprawą mają tylko tyle wspólnego, że dziesięć godzin dziennie pełnią przy panu straż i dostają za to wynagrodzenie. Niczym więcej nie jesteśmy, ale jedno wiemy: że wysokie organa, którym służymy, zanim zarządzą takie zatrzymanie, zbierają bardzo dokładne informacje o jego podstawach i osobie zatrzymanego. Tu nie ma pomyłek. Bo chociaż znam tylko nasze organa bardzo niskiego szczebla, jednak wiem, że bynajmniej nie szukają winy wśród ludności, ale że według prawa to вина przyciąga organa, a one muszą rozsyłać nas, strażników. Takie jest prawo. Gdzie tu pomyłka?

– Tego prawa nie znam – odpowiedział K.

– Tym gorzej dla pana.

– Ono chyba istnieje tylko w waszych głowach – odparł, chcąc potajemnie wniknąć w ich myślenie, obrócić je na swoją korzyść albo się z tym myśleniem oswoić. Ale strażnik zbył go, mówiąc:

– Jeszcze pan odczuje to prawo na sobie.

Wtrącił się Franciszek:

– Zobacz, Wilhelm, on przyznaje, że nie zna prawa, a jednocześnie twierdzi, że jest niewinny.

– Masz rację, ale jemu się nic nie wytłumaczy.

K. nie odpowiadał. „Czy mam pozwolić – myślał – żeby takie organa, według ich własnych słów najniższe, jeszcze bardziej mieszały mi w głowie swoją paplaniną? Mówią o rzeczach, których w ogóle nie rozumieją. Ich pewność siebie wynika z głupoty. Kilka słów, jakie zamienię z człowiekiem równym sobie, wyjaśni wszystko bez porównania lepiej niż najdłuższe rozmowy z tymi tutaj”. Zaczął chodzić po tej części pokoju, gdzie było trochę przestrzeni. Naprzeciwko zobaczył starą kobietę, która przywlokła do okna jeszcze starszego mężczyznę i go podtrzymywała; pora była, żeby K. skończył z tym przedstawieniem.

– Proszę mnie zaprowadzić do waszego przełożonego – powiedział.

– Nie wcześniej, niż on sobie zażyczy – odpowiedział strażnik imieniem Wilhelm. – A teraz – dodał – radzę iść do siebie, zachowywać się spokojnie i czekać na zarządzenia w swojej sprawie. Obaj radzimy, żeby pan się bez potrzeby nie rozpraszał, tylko pozbierał myśli, stanie pan przed trudną próbą. Potraktował nas pan gorzej, niż na to zasłużyliśmy swoją życzliwością, i zapomniał pan, że kimkolwiek byśmy byli, jesteśmy przynajmniej teraz wobec pana wolnymi ludźmi, a to nie byle jaka przewaga. Ale mimo to, jeżeli ma pan jakieś pieniądze, chętnie z tej kawiarni naprzeciw przyniesiemy śniadanko.

K., nie odpowiedziawszy na tę propozycję, przez chwilę stał bez ruchu. A jeżeli otworzy drzwi do drugiego pokoju czy nawet przedpokoju, to może ci dwaj nie ośmielą się mu przeszkodzić, może najprostszym rozwiązaniem będzie postawienie wszystkiego na ostrzu noża?

Ale wtedy mogliby go złapać, a obezwładniony straciłby względną przewagę, jaką jeszcze nad nimi zachował. Dlatego wybrał rozwiązanie bezpieczne, zostawiając rzeczy ich naturalnemu biegowi; nie zamienił ze strażnikami ani słowa więcej i wrócił do swojego pokoju.

Padł na łóżko i wziął z nocnego stolika piękne jabłko, które wieczorem przygotował sobie do śniadania. Teraz było jego całym śniadaniem, a pierwszy duży kęs go upewnił, że na pewno znacznie lepszym niż to, jakie strażnicy w drodze łaski mogliby mu przynieść z plugawej nocnej kawiarni. Poczuł błogi spokój; co prawda nie stawił się dziś przed południem w banku, ale dzięki swojemu dosyć wysokiemu stanowisku łatwo to usprawiedliwi. A może jako usprawiedliwienie podać prawdę? Tak postanowił. Gdyby mu nie uwierzone, co byłoby w tym wypadku zrozumiałe, wzięłyby na świadka panią Grobosch albo nawet tamtych dwoje starców, odbywających teraz pewnie marsz do okna naprzeciwko. Dziwił się strażnikom, że go zapędzili do pokoju i zostawili samego, skoro tutaj, co najmniej z ich punktu widzenia, istnieją aż nazbyt dobre warunki do samobójstwa. Ale jednocześnie zadał sobie pytanie, jaki, już z własnego punktu widzenia, miałby powód, żeby je popełnić. Niby taki, że za drzwiami siedzą tamci dwaj i że mu podebrali śniadanie? Samobójstwo byłoby czymś zupełnie nonsensownym i właśnie dlatego nie potrafiłby go popełnić, choćby chciał. Gdyby nie dziwna ograniczoność strażników, można by przyjąć, że dzielają jego przekonanie i że dzięki temu bez obaw zostawili go samego. Niechby sobie teraz patrzyli, jak podchodzi do ściennej szafki, gdzie trzyma dobrą wódkę, jak wypija kieliszek tytułem rekompensaty za śniadanie, a drugi w tym celu, żeby sobie, choć to pewnie zbyt czarna przezorność, dodać odwagi.

Nagle ze strachu szczerknął zębami o szkło, usłyszawszy zza drzwi okrzyk:

– Nadzorca woła!

Przestraszył go jedynie ten krzyk, urywany kaprałski wrzask, jakiego nie oczekiwał po strażniku Franciszku. Sam rozkaz był mu bardzo na rękę.

– Wreszcie! – odrzyknął, zamknął szafkę i pospieszył do bawialni. Stojący tam strażnicy, jakby to było oczywiste, zagnali go z powrotem do pokoju.

– Co za pomysły! – wołali. – W koszuli chcesz pan stanąć przed nadzorcą? On każe panu spuścić baty, i nam też!

– Dajcie mi spokój, do diabła! – krzyknął K., kiedy go zawrócili aż do szafy garderobianej. – Jak mnie ktoś nachodzi w łóżku, to niech się nie spodziewa, że będę w odświętnym garniturze!

– To nic nie da – mówili strażnicy, którzy, ilekroć podnosił krzyk, reagowali spokojem, niemal smutkiem, przez co go trochę peszyli i przywoływali do porządku.

– Śmiechu warte ceregiele! – mamrotał jeszcze, ale trzymał już oburącz marynarkę zdjętą z krzesła, jakby ją poddając osądowi strażników. Pokręcili głowami.

– Powinna być czarna – odpowiedzieli, a wtedy rzucił marynarkę na podłogę i sam nie wiedząc, co mówi, odparł:

– Przecież to jeszcze nie rozprawa główna.

Strażnicy uśmiechnęli się, jednak obstawali przy swoim:

– Powinna być czarna marynarka.

– No dobrze, jeżeli to przyspieszy sprawę – powiedział K., otworzył szafę, długo przeglądał liczne ubrania, wybrał najlepsze czarne ubranie z żakietem, którego wcięcie wzbudziło kiedyś wśród jego znajomych lekką sensację, zmienił też koszulę i zaczął się starannie ubierać. W skrytości pomyślał, że zyskuje na czasie, ponieważ strażnicy zapomnieli o tym, by go zmusić do porannej toalety. Obserwował, czy sobie jednak nie przypomną, ale oczywiście na to nie wpadli; natomiast Wilhelm nie omieszkiał wysłać Franciszka do nadzorczy z wiadomością, że K. się ubiera.

Kiedy już skompletował ubiór, Wilhelm, idąc tuż za nim, zaprowadził go przez pustą bawialnię do następnego pokoju, którego dwuskrzydłowe drzwi tymczasem otwarto. Pokój ten, o czym K. dobrze wiedział, zamieszkiwała od niedawna niejaka panna Bzykier, stenotypistka, która wychodziła do pracy wcześniej rano, wracała późno i z którą oprócz powitalnych formuł dotychczas

nie zamienił niemal słowa. Teraz odsunięty od jej łóżka nocny stolik stał na środku pokoju w charakterze stołu rozpraw, a przy nim siedział nadzorca. Nogę miał założoną na nogę, ramię przewieszane przez oparcie krzesła. W kącie stali trzej młodzi ludzie i oglądali fotografie panny Bzykier przypięte do maty na ścianie. Na klamce otwartego okna wisiała biała bluzka. W oknie naprzeciwko znowu opierało się o parapet dwoje starców, ale przybył im do towarzystwa znacznie wyższy mężczyzna, który stał z tyłu w rozpiętej na piersiach koszuli, palcami miętosząc i mierzwiąc rudawą bródkę.

– Józef K.? – spytał nadzorca, zapewne, żeby ściągnąć na siebie jego rozbiegane spojrzenie.

K. skinął głową.

– Pan chyba jest bardzo zaskoczony wydarzeniami dzisiejszego ranka? – spytał znów nadzorca i oburącz przesunął leżącą na nocnym stoliku świecę z zapalkami, książkę i poduszeczkę na igły, jakby właśnie tych przedmiotów potrzebował do rozprawy.

– Owszem – odpowiedział K. w błogim poczuciu, że wreszcie stoi przed rozumnym człowiekiem, z którym może pomówić o swojej sprawie. – Owszem, jestem zaskoczony, jednak wcale nie bardzo.

– Wcale nie bardzo? – Nadzorca ustawił na środku stolika świecę, a resztę przedmiotów zgromadził wokół niej.

– Być może źle mnie pan zrozumiał – zaznaczył spiesźnie K. – Chciałem powiedzieć... – Tu przerwał i rozejrzał się za krzesłem.
– Chyba mogę usiąść?

– To nie jest przyjęte.

– Chciałem powiedzieć – ciągnął K. już bez żadnej przerwy – że co prawda jestem bardzo zaskoczony, ale kto na tym świecie przeżył trzydzieści lat i kto, jak mnie to było przeznaczone, musiał sobie sam zapewniać byt, ten jest odporny na niespodzianki i nie bardzo się nimi przejmuje. Zwłaszcza nie takimi jak ta dzisiaj.

– Dlaczego zwłaszcza nie takimi jak ta dzisiaj?

– Nie powiem, żebym tę niespodziankę brał za żart. Jak na to byłaby zbyt dużym przedsięwzięciem, bo oprócz was, panowie, mu-

siałaby w tym wszystkim wziąć udział pani Grobosch i jej lokatorzy, co przekroczyłyby granice żartu. Dlatego nie powiem, że to żart.

– Bardzo słusznie – odpowiedział nadzorca, sprawdzając ilość zapalek w pudełku.

– Jednak z drugiej strony – dalsze słowa K. skierował do wszystkich, miał nawet ochotę się odwrócić do tamtych trzech koło fotografii – z drugiej strony, sprawa nie może być wielkiej wagi. Wnoszę to stąd, że jestem oskarżony, ale nie znajduję najdrobniejszej winy, o jaką by mnie można oskarżyć. Jednak i to nie ma znaczenia, główne pytanie brzmi: Kto mnie oskarża? Jakie organa prowadzą postępowanie? Czy panowie są jakimiś funkcjonariuszami? Nikt z was nie ma na sobie uniformu, chyba żeby – tu zwrócił się do Franciszka – nazwać uniformem pański strój, ale to raczej ubranie podrózne. W tych kwestiach żądam wyjaśnień i jestem przekonany, że po ich otrzymaniu rozstaniemy się w przyjaźni.

Nadzorca trzasnął pudełkiem zapalek o blat.

– Jest pan w wielkim błędzie. Ani ci tutaj panowie, ani ja nie mamy dla pańskiej sprawy żadnego znaczenia, ba, niewiele o niej wiemy. Nie wyglądałaby ona ani trochę gorzej, gdybyśmy mieli na sobie najnormalniejsze uniformy. Nawet nie mogę potwierdzić, że pan jest oskarżony, a raczej nie wiem, czy tak jest. Jest pan zatrzymany, to się zgadza, i więcej nie wiem. Może strażnicy nagadali co innego, ale jeżeli tak, to tylko gadanie. Więc choć nie znam odpowiedzi na pańskie pytania, to mam dobrą radę: Proszę nie myśleć tyle ani o nas, ani o tym, co się z panem wydarzy, proszę się raczej zastanowić nad sobą. I niech się pan tak bardzo nie obnosi ze swoim poczuciem niewinności, to psuje niezłe skądinąd wrażenie, jakie pan sprawia. W ogóle zresztą doradzałbym większą powściągliwość w mowie, jak dotąd zamiast wszystkich pana słów starczyłoby zaledwie kilka, a resztę można było wywnioskować z pańskiego zachowania, i nie wypadło to zbyt korzystnie.

K. wpatrywał się w nadzorcę. Szkolne nauki będzie mu tutaj dawał ktoś być może młodszy? Za szczerość wymierzają mu karę nagany? A o przyczynie zatrzymania i o mocodawcy nie dowie się

niczego? Trochę się zdenerwował, zaczął bez przeszkód z czyjejkolwiek strony chodzić w tę i we w tę, podciągał sobie mankiety, dotykał piersi, poprawiał włosy, minął tamtych trzech panów, powiedział „toż to nonsens!”, na co się odwrócili i spojrzeli na niego życzliwie, ale z powagą, a w końcu wrócił przed stół nadzorcy i stanął.

– Moim bliskim przyjacielem jest prokurator Narwanski – powiedział. – Czy mogę do niego zatelefonować?

– Oczywiście – odparł nadzorca – ale nie wiem, jaki by to miało sens, chyba że chce pan z nim omówić jakąś prywatną sprawę.

– Jaki sens? – zawołał K. raczej ze zgrozą niż ze złością. – Niby kim pan jest? Pan pyta o sens, a sam urządza takie widowisko, że trudno o większy nonsens? Czy to nie jest porażająco żałosne? Najpierw ci panowie naszli mnie, a teraz tu sobie siedzą albo stoją i każą mi przed panem skakać w lansadach. Jaki sens miałyby telefon do prokuratora, skoro jestem podobno zatrzymany? Dobrze, nie będę telefonował.

– Ależ proszę – nadzorca wyciągnął rękę w stronę przedpokoju, gdzie był telefon. – Proszę, niech pan telefonuje.

– Nie, już mi się odechciało. – K. podszedł do okna. Zdawało się, że przez to zakłócił trochę spokój widzów, którzy ciągle tkwili w oknie naprzeciw. Starcy chcieli się podnieść, ale mężczyzna za nimi ich uspokajał.

– Tam też są tacy widzowie! – zawołał K. do nadzorcy i wskazał palcem za okno. – Precz mi stąd! – krzyknął do tamtych trojga. Cofnęli się zaraz o kilka kroków, schowali się nawet za mężczyznę, który osłonił ich rozłożystym ciałem i, jak na to wskazywały ruchy ust, wypowiedział jakieś niezrozumiałe z oddalenia słowa. Ale nie znikli, tylko chyba czekali na chwilę, kiedy mogliby niepostrzeżenie podejść z powrotem do okna.

– Nietaktowni natręci! – powiedział K. i odwrócił się w stronę pokoju. Kiedy spojrzął z ukosa, wydało mu się, że nadzorca przytaknął. Możliwe jednak, że wcale nie słuchał, skoro przyciskał dłoń do stolika, jakby porównując długość swoich palców. Dwaj strażni-

cy siedzieli na przykrytym ozdobną narzutą kufrze i pocierali sobie kolana. Trzej młodzi ludzie, oparliśmy dłonie na biodrach, błędzili wzrokiem dookoła. Było cicho jak w biurze, o którym nikt nie myśli.

– Cóż, panowie! – zawołał K. i przez chwilę miał poczucie, jakby ich wszystkich dźwigał na swoich barkach. – Kiedy się tak patrzy na was, można odnieść wrażenie, że moja kwestia została zamknięta. Uważam, że najlepiej będzie nie zastanawiać się już nad zasadnością czy bezzasadnością waszych poczynań, tylko zakończyć sprawę ugodą i uściskiem dłoni. Jeżeli panowie też tak uważają, to proszę...

Wyciągnąwszy rękę, stanął przy stoliku. Nadzorca podniósł oczy, przygryzł wargi i spojrzał na dłoń K., który jeszcze liczył na taki pojednawczy gest. Ale nadzorca wstał, wziął leżący na łóżku panny Bzykier melonik i oburącz, jak przymierza się nowe kapelusze, ostrożnie nasadził go na głowę.

– Jakie dla pana wszystko proste! – mówił jednocześnie do K. – Mielibyśmy zakończyć sprawę ugodą, powiada pan? Nie, naprawdę nie sposób. Z drugiej strony bynajmniej przez to nie twierdzą, że ma pan powód do rozpacz. Nie, skądże! Jest pan tylko zatrzymany, nic więcej. O tym miałem pana powiadomić, powiadomiłem i zobaczyłem, jak pan to przyjął. Tyle na dzisiaj, możemy się pożegnać, ale tylko chwilowo. Pan pewnie chce teraz iść do banku?

– Do banku? Myślałem, że jestem zatrzymany. – K. zapytał z pewną przekorą, bo choć nie przyjęto jego wyciągniętej ręki, to jednak, zwłaszcza od chwili, kiedy nadzorca wstał, poczuł się od tych ludzi mniej zależny. Igrał z nimi. Gdyby wyszli, pobiegłby za nimi aż do bramy i proponował pozbawienie go wolności. Dlatego powtórzył: – Jak mogę iść do banku, skoro jestem zatrzymany?

– Ach tak – odpowiedział nadzorca już ode drzwi – źle mnie pan zrozumiał, jest pan zatrzymany, owszem, ale może pan bez przeszkód wykonywać swój zawód. Niech pan też prowadzi zwykły tryb życia.

– Więc takie zatrzymanie to nic strasznego – powiedział K. i stanął blisko nadzorcy.

– Nigdy nic innego nie mówiłem.

– Więc o takim pozbawieniu wolności raczej nie warto mnie było zawiadamiać – powiedział K. i jeszcze bardziej się do nadzorcy zbliżył. Tamci też tymczasem bliżej podeszli. Wszyscy stali teraz ciasno stłoczeni przy drzwiach.

– To był mój obowiązek – powiedział nadzorca.

– Głupi obowiązek – odpowiedział K. nieustępliwie.

– Być może, ale nie traćmy czasu na takie rozmowy. Myślałem, że chce pan iść do banku. Przykłada pan taką wagę do słów, dlatego dodam: nie każe iść do banku, myślałem tylko, że pan będzie chciał. A żeby ułatwić panu przyjscie do banku bez rzucania się w oczy, trzymałem tu do pańskiej dyspozycji trzech pana kolegów.

– Co? – K. spojrział na nich ze zdumieniem. Ci młodzi ludzie, nijacy i cherlawi, których pamiętał tylko jako grupkę przy fotografiach, byli rzeczywiście urzędnikami jego banku, nie kolegami, to przesada, nadzorca okazał się nie taki znowu wszechwiedzący, ale, owszem, urzędnikami niższej rangi. Jak K. mógł ich nie poznać? Jak musieli pochłaniać jego uwagę nadzorcy i strażnicy, skoro nie widział, kim są tamci trzej! Drętwy, machający rękami Wronenkruck, blondyn Puchaček o głęboko osadzonych oczach i Kamieniower ze swoim okropnym uśmiechem, wywołanym przez chroniczne naciągnięcie mięśni.

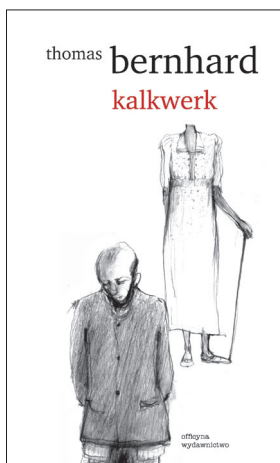
– Dzień dobry! – powiedział po chwili K., na grzeczny ukłon trzech urzędników podając im rękę. – Nie poznałem panów. To może idźmy do pracy, dobrze?

Jakby cały czas na to czekali, gorliwie i ze śmiechem pokiwali głowami i tylko kiedy K. wspomniał o kapeluszu zostawionym w pokoju, pobiegli tam gęsiego wszyscy trzej, co świadczyło jednak o pewnym zakłopotaniu. K. stał bez ruchu i spoglądał za nimi przez dwoje otwartych drzwi; obojętny Wronenkruck oczywiście ruszył ostatni, z dystynkcją i zaledwie klusem. Kapelusz wręczył Kamieniower, a wtedy K., jak zresztą niejednokrotnie wcześniej w banku, musiał sobie wyraźnie powiedzieć, że ten urzędnik nie uśmiecha się świadomie, ba, że nawet by nie zdołał. W przedpokoju pani Grobosch bez wielkiego poczucia winy otworzyła przed całą

grupą drzwi wejściowe i K. spojrział nie pierwszy raz na tasiemkę jej fartucha, niepotrzebnie wpijając się w potężne ciało. Na dole wyjął zegarek i nie chcąc bez konieczności zwiększać półgodzinnego już spóźnienia, postanowił, że wezwie któryś z tych samochodów na rogu. Kamieniower pospieszył tam, dwaj pozostali wyraźnie próbowali K. zabawić, aż nagle Puchaček wskazał kamienicę naprzeciwko; z bramy wychodził mężczyzna z jasną bródką, ale krępując się od razu wystąpić w całej okazałości, cofnął się i przywarł do ściany. Dwoje starców pewnie było dopiero na schodach. K. zezłościł się, że to Puchaček zwrócił uwagę na mężczyznę, którego on już wcześniej widział, ba, nawet oczekiwał.

– Nie patrzcie tam – rzucił, nie dostrzegając, jaki to dziwny sposób zwracania się do ludzi dorosłych. Ale nie musiał się tłumaczyć, bo akurat nadjechał samochód, więc wsiedli i ruszyli. Wtedy K. przypomniał sobie, że nie zauważył odejścia nadzorca ze strażnikami; przedtem nadzorca przesłonił mu trzech urzędników, a teraz urzędnicy nadzorcę. Nie świadczyło to o zbytnej przytomności umysłu, więc K. postanowił, że będzie się pod tym względem pilnował. Odruchowo jeszcze się wychylił do tyłu nad spuszczone dachem auta, żeby poszukać nadzorca i strażników. Ale czym prędzej, nawet nie próbując nikogo wypatrzeć, z powrotem się rozsiadł na swoim miejscu w rogu pojazdu. Wbrew pozorom właśnie teraz potrzebował słowa otuchy, a tymczasem trzej panowie robili wrażenie zmęczonych, Wronenkruck wyglądał z auta na prawo, Puchaček na lewo i do usług był tylko wyszczerzony Kamieniower; niestety, względy humanitarne nie pozwalały żartować z jego uśmiechu.

Kalkwerk



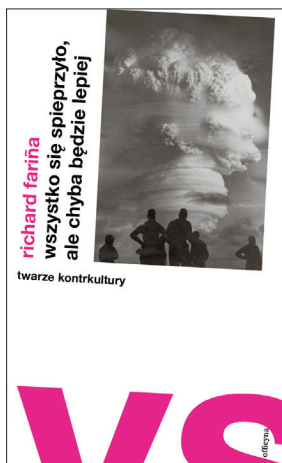
Jedna z najsłynniejszych powieści Bernharda, w Polsce zapoznana dzięki genialnemu spektaklowi Krystiana Lupy, którego rysunki powstałe podczas pracy nad adaptacją zostały zamieszczone na okładce oraz stronach tytułowych.

Obok tego martwego giganta nie przejdzie już nikt obojętnie
Elfriede Jelinek

W Kalkwerk znajdziemy jednak nieco mniej quasi-publicystyki niż choćby w takim Wymazywaniu – antyaustriacka obsesja Bernharda, choć dochodzi do głosu, nie gra tu pierwszych skrzypiec. Kalkwerk jest dziełem bardziej uniwersalnym, silniej zmetaforyzowanym, a przy tym, mimo całej swej idiomatyczności, zdradzającym rysy ewidentnie Kafkowskie.

W całej tej epistemologicznej matni, w jaką wpędza nas Bernhard, jedynym, czego będziemy jednak mogli być pewni, będzie to, że obcujemy z bezdyskusyjnym arcydziełem.
Szymon Majcherowicz, literatki.com

Wszystko się spieprzyło, ale chyba będzie lepiej



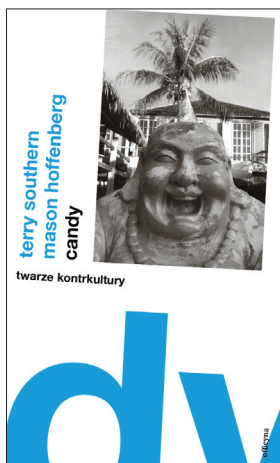
Jedna z najważniejszych powieści amerykańskich lat 60, wydana w 1966 roku przez Random House. Zabawny i przenikliwy obraz uniwersyteckiego campusu ogarniętego rebelianckim wrzeniem. Psychedeliczna podróż przez świat, w którym jak w alchemicznym tyglu zmieszane są erotyka i narkotyki, gargantuiczne obżarstwo i asceza, nauka i rewolucja, kłamstwo i prawda.

Powieść Farini nie jest jednak tylko „jedną z wielu pozycji” interesujących z historycznego punktu widzenia, lecz kolejną, kapitalną próbą realizacji marzenia o „wielkiej amerykańskiej powieści”, której polski przekład trafia do nas z zasmucającym opóźnieniem.

Polski przekład skrzy się energią i nieco wariackim sznytem, znakomicie osadzonymi w polszczyźnie.

Marcin Sendecki „Gazeta Wyborcza”

Candy



Nagroda Literatury na Świecie w kategorii „Proza” dla Macieja Świerkockiego.

Candy to niezwykle piękna i pociągająca, ale naiwna dziewczyna, w swoich poglądach na świat przypominająca nieco Justynę de Sade’a. Jej wrodzona dobroć, a także chęć i wola pomagania ludziom, którzy znaleźli się w poważnych tarapatkach, narażają ją na różne komiczne kłopoty i wplątują bohaterkę w farsowe sytuacje seksualne.

Jeden z kluczowych tekstów kontrkultury.

Piotr Kofta, „Wprost”

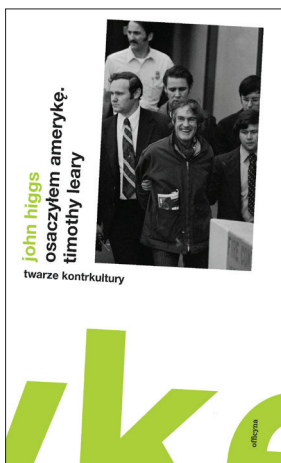
Pełna absurdalnego humoru.

Leszek Bugajski, „Newsweek”

Książkę można odczytywać jako satyrę na rewolucję obyczajową, pod płaszczykiem wyzwolenia zmierzającą do jeszcze większego uprzedmiotowienia kobiet. A choć jest nieodparcie zabawna, jest to ostatecznie śmiech gorzki.

Juliusz Kurkiewicz, „Gazeta Wyborcza”

Osaczyłem Amerykę. Timothy Leary

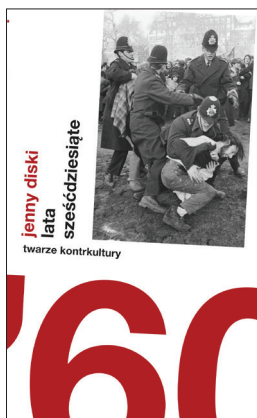


Błyskotliwa, napisana z werwą i okraszona sporą dozą humoru biografia Timothy'ego Leary'ego, ikony kontrkultury, jednej z najbardziej kontrowersyjnych, a zarazem wpływowych postaci drugiej połowy XX wieku, uznanej przez prezydenta Nixona za wroga publicznego numer jeden. Książkę czyta się jak pełną napięcia i zwrotów akcji powieść - trochę thriller, trochę historię miłosną, trochę gawędę o wzlotach i upadkach bujającego w obłokach psychologa, który chciał się przysłużyć... no właśnie, komu? Ludzkości, własnemu ego?

Leary pozostaje ikoną do dziś, a jego biografia jest – mimo drobnych zastrzeżeń dotyczących także proporcji biografii i analizy – świetną pozycją na rynku wydawniczym. Śmiałą, konsekwentną i żywo opowiadającą losy kontrkultury, która zasługuje na coś więcej niż tylko snucie sentymentalnych wspomnień z drugiej ręki w otoczeniu kadzidełek. John Higgs wyciąga te historie na inny poziom – wartościowej refleksji na temat świata buntu, kontrkultury i współczesnego spojrzenia na psychodeliczną utopię.

Olga Szmidt, e-czas kultury

Lata sześćdziesiąte



Lata sześćdziesiąte, szczupła książeczka Jenny Diski otwiera świetnie wymyśloną serię „Twarze kontrkultury” Jerzego Jarniewicza i Macieja Świerkockiego. Fenomen narodzin polityki jako stylu życia, konsumpcji w dzisiejszym wymiarze, komercjalizacji indywidualizmu, ale i praw mniejszości, radykalnej ekologii i rozumnej polityki narkotykowej – to wszystko ma zostać opowiedziane w wielu odsłonach i bliskich zbliżeniach.

Kazimiera Szczuka „Dom i wnętrze”

Wspomnienia bitniczki



Czule pisała o West Village, a później o Greenwich, drobiazgowo portretując każdą nową miejscówkę – dźwięki, zapachy, sposób, w jaki światło rozkłada się na fasadach kamienic. „Wspomnienia” to w dużej mierze książka o doświadczaniu miasta. To ono narzuca formę obcowania ze światem, którego kodem nie był wcale hołubiony przez chłopców nerwowi i rozochocony bop, ale stonowany, zachowujący pozory obojętności cool. (...)

Maciej Boenisch, Dwutygodnik

© for translation and *Nie przed zwykłym sądem* by Jakub Ekier
© for *Parametry Kafki* by Łukasz Musiał
© for Polish edition by Oficyna s.c.

Wydanie II, przejrzone

Korekta: Łukasz Urbaniak

Projekt okładki: Maciej Mraczek / maciejmraczek.pl
Konwersja: Wioletta Kowalska / Violet Deisgn

Wydawnictwa Oficyna s.c.
93-114 Łódź, ul. Przędzalniana 99
www.officyna.com.pl, officyna@officyna.com.pl

ISBN 978-83-62409-58-7

Książka ukazała się przy wsparciu:

austriackie forum kultury^{waw}

Książkę polecają:

DOBRE KSIĄŻKI



{ opętani
czytaniem }

